

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 18 marca 1916 roku.

№ 12.

Zofia Nałkowska.

KOCHANKA.

NOVELA.

Człowiek jeden upewnił się o śmierci swego młodszego brata, śmierci oddawna zresztą podejrzewanej i wiedzianej. Odkąd mianowicie przestały nadchodzić małe karty pocztowe bez marek. Ostatnia zawierała te nieostrożne, lekkomyślne słowa: „Jeszcze ciągle jestem zdrów i cały”.

Potwierdzenie dawniejszej pogłoski otrzymał właśnie teraz z ust pewnego chorego żołnierza. Od dwóch tygodni poszukiwał go po miejskich szpitalach i lazaretach. Był to świadek naoczny, szeregowiec, który służył w oddziale zmarłego.

Opowiedział, jak się to stało. Żołnierze leżeli w naturalnym zagłębieniu gruntu i strzelali. Pociski przelatywały nad głowami, huk był ogłuszający. Nagle oficer podniósł się i przez lornetkę patrzył na wojsko przeciwnika. I wówczas rozerwany został przez pocisk. Padł odrazu bez ruchu, z wyszarpanemi wnętrznościami. Jego miejsce zajął feldfelbel i strzelali jeszcze tego dnia do samego wieczora. Rannych wzięli dopiero w nocy, a trupy grzebali we dwa dni później, gdy wróg odszedł.

Słuchał tego, jak rzeczy poniekąd wiadomej, już powielekroć przeżywanej pracą myśli. — A wy, czy jesteście ranni? — uznał po chwili za właściwe spytać żołnierza.

Nie, nie był ranny, tylko odmroziło mu obie nogi. Zrobili operację, odcięli po kawałku stopy, jedną mniej, drugą trochę więcej. Cieszył się, że jest już zdrowszy, że niezadługo będzie mógł wrócić do szeregu i bić się. Mówił z uśmiechem, że walką jest rozkoszą, że pod bagnietami tańcy przewracają się, kwiecąc, jak zwierzęta.

Obawiał się tylko, czy będzie mógł dobrze chodzić po operacji, czy go przyjmą. — Ach, jakże chciał wrócić do szeregu. Chociaż nie mógł się skarżyć: i tu, w lazarecie, też był dla niego wszyscy bardzo dobrzy. — Był to młody chłopak bezwasy, o oczach skośnych i wielkich, prognatycznych zębach.

Pożegnawszy żołnierza, odszedł, uważnie rozglądając się po salach. Twarze leżących pod kocami nasuwały mu kłamne podobieństwa i przypomnienia, krótkie ciosy złudzeń niemożliwych. Wielu jęczało. Nad łóżkami schylały się głowy siostr. Jednego wynoszono, który umarł.

Na ulicach nic się nie zmieniło. Żółty mrok pochmurnego dnia, dziwny, niepodobny do prawdy kolor murów, kamieni i twarzy. Nagie drzewka sterczały z pośród płyt betonu, obsiadłe przez gromady wróbli, niby obwieszone zimowemj owocami. — Po deszczu niedawnym rzadkie błoto lgnęło do obuwia, przelewało się między kamieniami bruku.

Długi szereg tramwajów i dorożek stał u krzyżownicy ulic. Szło wojsko. Zbite w olbrzymie, bezładne kolumny, szło, chrzęszcząc i chrobocząc, jak stado szarańczy.

Brzegami chodników przystawały przechodnie. Zatrzymał się też i patrzył wraz z nim; na te wciąż nowe, przeciągające twarze. Żółte i czarne, wynędzniałe, majaczące. Ktoś znowu wydał mu się podobny, na chwilę krótką tożsamy. I przeszedł, jak inni.

Szły niedbale czy chwiejnie, chyba zmęczeni; bardzo, w zupełnem milczeniu. Tylko wielkie, szare, zaگیęte z przodu, nieprzeliczone buty przerabiały płynne błoto ulicy, rozno-

siły kałuże, szmerem monotonnym i upartym głużyły gwar ulicy.

Jakiś bardzo warty i drobny oficer w binoklach, na wysokim i długim koniu jadący, nagle ściągnął cugle, ręką dał znak, aby się zatrzymali. Znieruchomiały kolumny, konie u furgonów i armat stanęły w pół kroku. — Gdzieś bowiem daleko na przodzie wojsko weszło w zapchaną ulicę i nie mogło się dalej posuwać.

I zaraz, jakby powiał wiatr, żołnierze zaczęli siadać i nawet kłaść się na ziemi. Pomimo niejakich protestów starszyny, walili się poprostu w błoto, niektórzy na wyższe nieco brzegi chodnika, większość pośrodku ulicy — w gęste kałuże, zatapiające kamienie bruku. Wypoczywając, polykali chciwie i smutno bułki, otrzymane od przechodniów.

Jednego, gdy tak siedział na ziemi, na skraju trotuaru, zaczęła drapać łapą w łokieć miła wyżlica, trzymana na smyczy przez eleganckiego pana.

Żołnierz obrócił się, pogłaskał ją machinalnie. Ale zaraz przestał zwracać uwagę na jej wesołe zaczepki, zatopiony w swoim odpoczynku przelotnym. Pies odchodził, opierając się, wleczonej na smyczy przez pana. Chciał się bawić.

Patrzący odwrócił oczy od tej sceny niedorzecznej. Raziła go niewłaściwa serdeczność wyżlicy i smutne roz targnienie żołnierza. Doznał na krótką chwilę owego wzruszenia niższego gatunku, kiedy to lży krwawią się bez trudu płytko w gardle. Przypominał sobie jedną dawniejszą, także bez marki, kartę. I słowa: „Jestem już bardzo zmęczony. Jestem już tylko zmęczony. Nieprzyjacieli posunął się znowu. Wczoraj mieliśmy ciężki dzień. Nasz pułk za dwa tygodnie ma pójść na odpoczynek”.

Odszedł od walających się w błocie żołnierzy i skręcił w boczną ulicę. Wiedział, dokąd teraz należy iść. Musiał zanieść komuś tę otrzymaną wiadomość o śmierci.

Nie komuś z rodziny — bo nie było już ani rodziców, ani więcej braci i sióstr. Z najbliższych pozostała jedna tylko kobieta, łaknąca wieści, płacząca po nocach, młoda, tęskniąca kochanka.

Myślał teraz o tym, jak o jedynej uldze przynoszącym ciężarce: powiem jeszcze jej. I to znacząco; nie będę sam. Powiem jeszcze jej i będę błagał, będę błagał o przebaczenie.

Wiedział bowiem, że źle zostanie przyjęty. Wiedział, jak jest tam nienawistny — a szedł, jakby oczekując — pociechy.

Tak, niewątpliwie, źle był uczynił, oparłszy się tak stanowczo temu lekkomyślnemu zamiarowi. Gdyby nie on, małżeństwo zostałooby zawarte. Nie należało opierać się niczemu. Teraz i tak byłoby to wszystko jedno.

O pewnym stopniu schodów kamiennych pomyślał, że deptany był co dnia, co dnia i powielekroć stopami brata. Czuł jasno, że zatruł goryczą młode jego życie, któremu właśnie krótkie szczęście tylko było potrzebne.

Drzwi, gdy zadzwonił, otworzyła ona sama. Na jego widok stanęła bez ruchu — mała, różową kobietą, o wązkich oczach i włosach jasnych, jak złoto. Nie przywykła do wizyt jego, więc domyśliła się zaraz, co to oznacza.

— Ach Boże, ach Boże — zaczęła powtarzać cienkim, dziecinnym głosem.

Wszedł za nią do wielce ubożego buduaru. Kosz ślicznych kwiatów, postawiony w miejscu widocznym, odstawał od tła. W kącie widać biały bez, ubrany różową bibułką.

— Niech pan usiądzie. Co ja teraz ze sobą zrobię sama, co teraz ze mną będzie —

Patrzył i słuchał — bez ulgi w samotnym smutku. Mała blondynka łamała ręce i poprawiała włosy. Miała teraz twarz jeszcze bardziej różową od krótkiego płaczu.

— Ja będę nosiła żalobę, — mówiła we łzach. — Mnie jest wszystko jedno. Mogą sobie mówić ludzie, co chcą. Mnie to nie obchodzi. Będę nosiła żalobę, jak po mężu. Ja wiem, że on mnie kochał, że onby mnie nie był zostawił nigdy. On taki był dobry, on mi przysyłał listy i pieniądze przez tego małego hrabiego, towarzysza z pułku. A teraz —

Z twarzą w dłoniach usiadła blisko jego krzesła.

— Jakże mi teraz będzie smutno. Zawsze jeszcze sobie myślałam, że on przecież wróci, wróci. Co ja sama zrobię? Ja taka jestem przyzwyczajona, żeby ktoś zawsze był przy mnie. Ja go tak kochałam i tak go lubiłam.

Słuchając, widział jednocześnie niezmierny bezsens zdarzenia, ów żaden związek z tem, co się tu dzieje. Nie warto było nietylko umrzeć.

ale nawet żyć. — mówił sobie, poznając teraz wartość owego, tyle marzonego, szczęścia.

Usiłował wykryć w tej istocie obcej tajemnicę wpływu, ową siłę nieodpartą, która tak urzekła zmarłego, która miała wykołcić mu życie, gdyby nie był zginął. Stała kiedyś pomiędzy nim i bratem, najklierwiej kochanym, otworzyła pomiędzy nimi przepaść niezagłuchłego żalu, smutnej goryczy, trwającej poza grób, jako wyrzut krwawy i nigdy nie wydarty z serca.

W tem ciele drobnem, w oczach wązkich, w wargach nazbyt różowych odgadywał zaklęty geniusz gatunku. Przez małą twarz o rysach nieprawidłowych i zbyt miękkich przebiegały czasami fale nadzwyczajnej piękności, jakiegoś cuda wejrzeń i domknięć ust — niby fale gwałtownego światła. Niektóre pochyleń ramion i szczupłych pleców zawierały w sobie jakby krótkie oznajmienie, przelotne, niedbałe powiadomienie o czymś, od czego serce bić przestaje i tchu braknie.

Przysunęła się tak blisko, że płaczącą pogładził po włosach. Zdziwił się, że aż tak są miękkie. Ona z wdzięcznością przytuliła się do jego ramienia. A że nie mógł opanować odruchu i cofnął się szybko, podniosła oczy i blade uśmiechając się przez świeże łzy, powiedziała:

— No, przecież ja jestem pra-

wie pańską bratową, chociaż pan nie chciał...

I znów przytulając się doń jasnowłosa głową, mówiła:

— Ach, Konik, Konik. Ja zawsze jego nazywałam Konik od Konstanty, a on na mnie mówił Mucha. I teraz już każdy też mówi na mnie Mucha. Ach, on taki był zazdrosny. Konik. Boże ty mój. Tylko niech pan sobie czego nie pomyśli, bo ja jemu naprawdę byłam wierna, jak pies.

Kiedy odchodził, wyciągnęła ku niemu twarz i nadstawiła przymknięte, zapłakane powieki, żeby je pocałował.

— Ale przecież pan jeszcze przyjdzie. — prosiła. — Taki miły, dobry szwagierek. O, dawniej to nie był taki. — uśmiechnęła się. — Niech pan przyjdzie, ja teraz nie mam nikogo, nikogo...

Obiecał przyjść — i wiedział, że obietnicy dotrzyma.

Idąc tem samemi, co przed godziną, ulicami, myśląc: Najgorsze, że nietylko to jest smutne. Wszystko jest smutne. I obrzydliwe.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie na brzegu chodnika miła wyżłoca zaczęła łapą zmęczonego żołnierza. — Ale żołnierzy już nie było. Na ulicy pozostało po nich tylko błoto.

KONIEC.

Andrzej Strug.

POWIEŚĆ.

Dzieje jednego pocisku.

31

— A kto go upilnuje, kto wywiad zrobi, kto na ulicy będzie wartował? Tu trza ludzi z dziesięciu i nie byle gapiów... Trza mieć ubranie porządne, żeby szpikom w oczy nie leżć. Ale jest tu taki sobaczy, główny generał od sądów wojennych. Mieszka prywatnie, piechotą teraz chodzi. To by było ładne, co? Ilu to on naszych osądził? To nie jakiś komisarz?

Wieczorem, kiedy baba zeszła do sklepiku na plotki, zaczął Rewilak układać swój list pośmiertny do partyi. W wielkiem wzruszeniu, chodząc po izbie, dyktował głośno, a krawiec gryzmolił, jak umiał, olówkiem po papierze, rozłożonym na desce od prasowania. Doradzał, poprawiał, klócił się o słowa.

— List musi być piękny, żeby go mogli cały wydrukować.

— Takiej spowiedzi oni nie wydrukują, bo za dużo na mnie świństwa cięży. Mnie o co chodzi? Niech mnie jeno wspomną uczciwie, w paru słowach — że to ja zrobiłem. Z imienia, nazwiska i wszystkich trzech pseudo-

nimów, bo mnie ludzie rozmaicie znają. Niech napiszą: grzeszył, łajdak z niego był, ale żałował, poprawił się i życie za dobrą sprawę oddał. Przecie nawet ten klecha na spowiedzi rozgrzesza.

— Ludzi dużoś namordował?

Rewilak westchnął.

— Ludzi porządnych, jak się patrzy? Ja nie — ani jednego, ale jak przy mnie nieraz robili, tom nie przeszkadzał i za te zdobyte pieniądze żyłem — to jest prawda i to mój grzech.

— A tak szpicłów, salcesonów i inszych psubratów? Dużo tego było?

Rewilak znów westchnął.

— Widzicie, stary, niby się robiło, jak to w rewolucyi. Zapowiedziałem sobie tak: wyrzucili mnie z partyi, skrzywdzili, opublikowali, a ja pokażę, że i samemu można dużo dobrego zrobić. Ale mnie ciągnę i do samego zabijania. Lubilem wygarnąć po nocy. Potem mi obrzydło i com robił, to z tego musu. Zeszkapiałem

na szczęt w poniewierce i czasami wydaje mi się, że jakby wstały z grobu i odżyły te wszystkie carskie sługi, te alfonsy, te wszystkie nieznajome ludzkie, pobite moją ręką, tobym był strasznie rad i wesół. Tyż głupstwo...

— Nie to innego, chłopcze, nie znaczy, tylko że prędko umrzesz. Przychodzi na człowieka przed śmiercią taki głupi żal. Mój nieboszczyk ojciec na wojnie tureckiej był. Jak chorował przed śmiercią, to ino tych turków żałował. A to przecież była wojna — na rozkaz szedł!

— Dopókim w piątce był i szedł na rozkaz, to mnie o nic głowa nie bolała i niczego ja z tamtych czasów nie żałuję. Aż dopiero potem, jak się wszystko pomieszało i złe i dobre, jak mnie ta samowola ogarnęła i lajdackie towarzystwo...

Bačka zapalił się do tego listu i poprawiał go a polerował w łóżku. żonie zaś powiedział, że pisze odezwę do wszystkich krawców wszelkiej narodowości o pomoc i poparcie pieniężne i że to pisanie będzie wydrukowane aż w pięciu językach świata. Bačkowa aż gębę otworzyła ze zdumienia i tej dumy małżeńskie.

Bomba stała tymczasem na stryszku, wystawiona na zewnątrz dymnika, niedostrzegalna dla najściślejszej rewizji, i patrzyła z wysokiego dachu na miasto. Rewilak codzień wychodził na długie rekonesanse w tej swojej ostatniej sprawie. Wesole to były dni. Uśmiechał się, patrzac na ludzi, kręcących się po ulicy koło swoich interesów. Uśmiechał się, widząc kogo płaczącego, uśmiechał się, kiedy się kto śmiał, zabawnie mu było, kiedy spotkał patrol, prowadzący więźniów, i kiedy przyglądał się trupowi zabitego szpicla, rozciągniętemu na chodniku. Jednakowo patrzył na bogatego i na biednego. — Teraz już wszystko jedno — myślał sobie. Był nareszcie spokojny. Sama sprawa nie była jednak prosta. Chłopak był obdarty — szpicle, którzy włóczyli się pod domem owego generała, przyglądali mu się brzydko, a nie miał zaco sprawić sobie nic nowego. Najgorszy zaś był kapelusz — dziurawy, z obwisłemi brzegami, wytłuszczony na glanc.

Zaszedł tedy do starego sklepiarkarza na Starem Mieście. — Musi dać — upewniał się: z biedy go wyciągnąłem. Jakby nie chciał, to mu powiem, że mu cały interes odniosę z powrotem. Ale sklep był zamknięty. Rewilak poszedł do bramy i zastukał do tylnych drzwi.

— A czego to? — spytał stróż.

— Czemu to sklep zamknięty? Mam interes do starego.

— To idź pan na Brudno. Dziś rano go tam zawieźli.

— Patrzajcie! I cóż mu się stało?

— Nie wielkiego. Powiesił się i tyle.

Rewilak zagwizdał i poszedł sobie. Nie przyszło mu nawet, że to on mógł być przyczyną tego nowego nieszcześcia. Myślał nad tem, skąd wydobyc trochę pieniędzy, choćby na kapelusz i na buty. Zastanawiał się, czyby to wypadało zrobić na taki cel jedną niewielką, już ostatnią w życiu „komunę“.

— Lepiejby było nie, ale jakże inaczej? Było to istotnie jedyne wyjście. To też, nie przesądając jeszcze sprawy, zagłębił się w dalsze uliczki i po drodze przystawał przed oknami sklepów i sklepików i badał sytuację. W jednym miejscu widzi, w sklepie mydlarskim siedzi za ladą sama jedna dziewczynina. W pokoju za sklepem pusto. A możeby spróbować? Ten ostatni raz? Przecie to nie dla siebie...

Nagle poczuł w krzyżach przenikliwy ból, który w jednej sekundzie przeszył go nawskroś. Obrócił się w mgnieniu oka i stanął oko w oko z Wickiem-Waryatem, z Woli, z którym miał śmiertelne porachunki. Wicek patrzył na niego ironicznie, otrząsając nóż ze krwi i zabierał się do odwrotu.

— Kwit z tobą, „Kureki“! Udryptałem się za tobą nieźle. Dobranoc, towarzyszu! No? Jeszcze mi do nóg nie padasz? Czy cię mam poprawiać.

I jak gdyby Rewilak tylko czekał na ten rozkaz, pochylił się, nogi się pod nim ugięły... Lewa ręka usiłowała jeszcze niedołężnie sięgnąć do kieszeni, gdzie była nieodstępna maszyna. Wreszcie padł twarzą do ziemi...

A Bačka zaniemógł ciężko. Z tydzień przeleżał w gorączce, nie wiedząc o świecie bożym. Kiedy się ocknął, poczuł gwałtowny napływ życia i sił. Mówił głośno, wymyślał żonie, odgrażał się.

Tymczasem strejk się zepsuł, ludzi mnóstwo pobrali, a reszta znowu skamlała u majstrów o robotę, zdając się na ich łaskę i niełaskę. Zażądał Bačka jeść po chorobie, ale w domu nic nie było.

— Czekałam, aż wstaniesz, to poduszczę się zaniesie. Będzie na parę dni.

— A nie robiłaś nic?

— Com miała robić? Trzy razy byłam u naszego. Wygnał za każdym razem: dla mnie teraz, powiada, sami nowi robia — dość ja już z wami miałem zgryzoty! Żeby jego morowe powietrze...

— A gdzieindziej?

— Wszędzie odganiają. Śmieją się z człowieka i tyle. Koniec świata!

— U żydów byłaś?

— U nich to samo, powieśmy się. Tomek, Poduszkę się zastawi, kupmy wódki, wypijmy po flaszcze i niech nas wszysej diabli...

— Głupia jesteś — ja tak na sucho z tego świata nie zejde.

— Jaceś mądry — to myśl...

Stara zaniosta poduszkę do lombardu, a Bačka został i „myślał“. Rozmyślał nad tem, gdzie się też Kazik zawieruszył? Z gorączki czuł wielkie siły, ale ledwo nogami powłóczył. Umył się, ubrał się i ustawicznie mruczał coś do siebie. Chodził przez jakiś kwadrans po pokoju, przystawał, kaszląc ciężko. Przystawał i stał długo, patrząc przez okno na wieże katedry i na dachy. W oczach miał gorączkę i jakieś niewyraźne myśli. Wiedział, czego chce, ale nie wiedział jeszcze, co ma robić. Co chwila robiło mu się słabo. Spojrzał na swoje łóżko i chciało mu się położyć z powrotem, odwrócić się do ściany, zakryć się z głową i niech się dzieje, co chce... Wiedział jednak, że jak się teraz położy, to już nie wstanie nigdy. Śmierci się jeszcze bał, choć zarazem śmierci szczerze pragnął. Stanął przed rozbitym lusterkiem i podczesał sobie jeszcze raz siwe włosy. Potem dołał wody kanarkowi. Potem ukląkł przed obrazem, przeżegnał się i zaczął pacierz, ale, nie doszedłszy do Zdrowaś Marya, wstał i otworzył okno, bo go dusiło stęchłe powietrze. Potem miał zrobić jeszcze coś najważniejszego, o czym nie tyle zapomniał, ile wciąż jałkoś odkładał. Ale przypomniał sobie, że żona może lada chwila nadejść, więc, śpieszac się niezmiernie, wyszedł ze stancyi.

Zgarbiony, błady jak cień, powłókł się ulicami. Przystawał, opierał się o mury i wypoczywał, dysząc ciężko. Zakaszłał się parę razy, że mało dusza z niego nie wyszła. Wreszcie doszedł do samego miejsca. W magazynie u pana Żołopowicza wstawiano właśnie nowe szyby. Szklarze dźwigali z trudem wielkie tafle, a naokoło gapili się ludzie. Bačka ostrożnie otworzył drzwi, pokornie zdjął czapczynę i stanął w progu, patrząc miłosiernie. Właściciel siedział za kantorkiem i pisał. Subjeki zaczęli wypędać natręta, a pan Żołopowicz tylko spojrzął z pod oka i pisał dalej. Bačka bronił się i z wielką pokorą prosił o przebaczenie i o robotę. Wreszcie pan majster spojrzął dobrotliwie i powiedział:

— Nie, mój Bačka. Teraz basta! Już ja mam was dosyć.

— Z głodu umieramy, panie...

— Cóż ja temu winien? Idź do socjalistów, niech ci dadzą robotę. Ruszaj, ruszaj z Bogiem.

Bačka stał, chcąc jeszcze coś powiedzieć. Należało koniecznie coś powiedzieć, bodaj trzy słowa. Coś takiego trza było teraz zawołać. Ale szczękę mu się zawarły i wielka słabość zaczęła go ogarniać od stóp do głów. Szybko wyjął puszkę z kieszeni pałtota, wpadł za ladę i nie

nie mówiąc, grzmotnął pociskiem pod same nogi majstrów. Pan Żołopowicz podniósł ręce do góry, wrzasnął i spadł z wysokiego stołka, a Baćka z tego wysiłku i wzruszenia upadł też opodal, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Zemdlał.

Wyczerpała się cierpliwość martwego narzędzia. Nie obliczyli tego żyjący ludzie. Nie wiedział Tomasz Baćka o kolejach pocisku, nie wiedział o jego starem tulaństwie.

Broniła go od zimna, od wilgoci gruba, żelazna skorupa, broniła go od wstrząśnienia zapobiegliwa ostrożność ludzka. Chowali go, chronili, by nie wpadł we wrogie ręce. Robili, co mogli.

Tego jednak ani wiedzieć, ani odrobić nie mogli wszechmogący ludzie, co się czyniło tam we środku, w tajemniczym wnętrzu, gdzie czaiła się piorunująca śmierć, gdzie na cienkim włosku zawieszono chytrze potworny wybuch, żeby groził o każdej chwili i zniszczył w pewnej godzinie to — co zawadzało człowieka; na jego drodze. Nie wiedział Tomasz Baćka, co stanął za cały ukrzywdzony lud krawiecki, że wybrał się jeno jakby z kamieniem w rękę na mocnego wroga. Nie wiedział o tem i pobożny, prawy polak, pan majster Żołopowicz, i niepotrzebnie stałował aż w samej katedrze solenną i drogą wotywę za cudowne zratowanie.

Nie było cudu.

Skruszyło całą moc pocisku tajemnicze życie sił natury — które szło swoją koleją, aż dokonało swego. Swoją swoją koleją losy ludzkie, pożerające czas, trawiące dusze, niszczące życie, rodzące życie. Konała rewolucya, konała w pocisku siła. Omdlewała moc w duszach, wysuwała się z ręki broń. Oto wszystko.

Zawieziono pobitego, okrwawionego Tomasza Baćkę do Ochrony na srogie badanie. Zabrano pocisk do specjalnego, opancerzonego furgonu i powieziono ostrożnie. W zakładach artyleryjskich na Pradze oglądali go rzeczoznawcy, oglądali go z ciekawości oficerowie.

Wszyscy byli radzi zajrzeć do tajemniczego wnętrza. Długo radzili, co czynić, żeby się jak najbezpieczniej o wszystkim przekonać. Kto to wie, czego się spodziewali. Czy chcieli wykraść i posiadać tajemnicę rewolucyi? Czy zdawało im się, że w tej żelaznej skorupie zamknięta jest jakaś nadzwyczajna zagadka, przechodząca miarę wszystkiego, co już z tych czasów odgadli i co już zdołali zwyciężyć.

Nakazane było bombę zważyć, zmierzyć, otworzyć, rozebrać i opisać wszystko. Lekceważył tłum oficerski „krawiecką robotę”, śmieli się, kurząc papierosy wokoło pocisku, który zawiódł i nie wybuchł. To ośmieliło majstrów wojskowych.

Wstawiono więc pocisk w śrubsztak i z wolna zaczęto odkręcać pokrywę. Opierała się całą mocą, aż po wielu wysiłkach ustąpiła śruba. Obróciła się o mały włos pokrywa i w tejże chwili wybiegli z wrzaskiem z warsztatu i majstry i dozorujący ich specjaliści i gapiący się na tę robotę oficerowie. Toczyli się i przewracali we drzwiach.

Straszny gryzący zapach wypełniał pracownię — zabójczy i nie do zniesienia okropny był ten pierwszy oddech piekielnej maszyny. Po wielu naradach i namysłach, oficer pognął znowu do roboty struchlałych ludzi.

Nie da się z niczem porównać delikatność, z jaką dotykali się złowrogiego narzędzia wystraszeni żołnierze. W maskach na twarzach, z wilgotną gąbką na ustach, ponieśli pocisk w rękach krok za krokiem, wolnusiętko, przez pola, drogi, aż nad Wisłę. Tam złożono go na brzegu pod straż czterech żołnierzy, rozstawionych szeroko w czworobok. Ciekawie patrzyli na to wszystko rybacy z miasta, siedzący na brzegu, przystawali ludzie na drodze i nie wiedział nikt, co by to znaczyło.

Aż przyjechał furgon z saperami i zaczęto pracę. Wypuszczono z furgonu długi i gruby drut w kauczukowej powłoce, omotano pocisk, przy-mocowano i na długiej żerdzi ostrożnie zapuszczono w głębokie miejsce. Odpędzono precz rybaków, odciągnięto furgon na sto kroków.

— Gotowo?

— Gotowo.

Żołnierz w furgonie nacisnął guzik. W tejże chwili stanął nad powierzchnią wysoki słup wody. Wzburzyła się woda na szerokiej przestrzeni. Walily się z głębiny spienione kłęby i poszła fala po rzece.

Wyzionął z wody groźny, głęboki huk — zawisł nad rzeką, głucho, ciężko i długo odbijał się echem o wyniosłe wały i mury Cytadeli, stojącej na tamtym brzegu.

Podniósł się i przegrzmiał — jak salwa armatnia nad świeżą mogiłą wojownika, jak ostatni, daleki odgłos burzy, która już minęła.

Od huku zadźwięczały szyby w ślepych oknach wieżien — oczka się z swojej przedśmiertnej zadumy skazany więzień i nadśluchiwał długo.

KONIEC.

M. Hartill.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

NA TARCZY.

NOWELA.

Armia obywatelska uruchomiła się z niesłychaną szybkością.

Paweł Arlington nienawidził w duszy tych zuchów, gdyż zazdrościł im skrycie. Gdy młodzież kolonialna wtargnęła do hotelu z wielkim brzękiem ostróg, Paweł omal nie zadławił się tem uczuciem, które przeciwieństwo miało w sobie nie ujemnego.

Jedynie matka jego odgadywała, że ten wysoki, szczupły chłopiec o wątlwym wyglądzie ponał żądzą walczenia za kraj i że był w duszy urodzonym żołnierzem. Pochodził też istotnie z rodziny wojskowych i ta okoliczność czyniła mu tem nieznośniejszym życie chronicznego pacjenta, jakie spędził od lat kilku.

Przed dwoma laty słynny specjalista chorób piersiowych wystąpił go na dłuższy pobyt do Kaplandyi, przepowiadając możliwość odzyskania zdrowia, jeżeli przynajmniej ze trzy lata poświęci się wyłącznie usilnym w tym kierunku zabiegom.

Słowa znakomitego doktora sprawdziły się. Suche, rażne powietrze kaplandzkich wzgórz w połączeniu z higienicznym życiem wzmocniły płuca Pawła. Zmęźniał i nabrał sił, nie do tyła przecieży, by móżdżek się zaciągnął w szeregi armii Kitchenera.

Tylko jedna pani Arlington odgadła, co czuł Paweł, gdy nadeszło

ogólne wezwanie: „Nasz Król i Kraj potrzebują was”. On sam raz tylko jeden napomknął o tem.

Było to tego dnia, kiedy przyszedł telegram od drugiego syna, Filipa, donoszący, że jego pułk przydzielony został do armii zagranicznej.

Pani Arlington weszła z tym telegramem do saloniku, w którym znajdował się Paweł.

— Filip jedzie na front — rzekła głosem, w którym przebijała się duża połączona z tajoną obawą.

Paweł stał przy oknie, patrząc na zatokę. Południowo-wschodni wiatr chylił korony jodeł rosnących u stóp hotelu.

— Szczęśliwy Filip! — rzekł nie odwracając się — szczęśliwy. Nawet gdyby poległ, to umrze jak Arlington, spędziwszy życie, jak mężczyzna, a nie jak... cherlak!

Mówiąc to, bębnił po szybie cienkimi, długimi palcami.

— Jak mama myśli? — zaczął po chwili — czy nie powinienem się nauczyć robić na drutach? Mogłbym robić skarpetki lub szlafmyce dla armii Kitchenera, jak to robią kobiety. Może choć do tego będę zdolnym.

Pani Arlington ścisnęło się serce. W głosie Pawła drżała bezsilna żądza przydania się na coś w tym na-

rodowym ruchu, żądza jakiegobądź czynu, spełnionego bodaj kosztem zaparcia się osobistej ambicji i gośności.

— Nie mów tak, dziecko drogie — rzekła z bólem. — Wiem, że to straszne dla ciebie, ale pamiętaj, jak bardzo mi jesteś potrzebny. Ciebie już tylko mam jednego. Oddałam Anglii męża, a teraz Filip —

Nie mogła dokończyć.

Paweł zbliżył się do niej i ucałował jej szczuple, białe ręce.

— Mateczko — rzekł z niewysłowioną kłiwością. — Zapomnij, co powiedziałem. Żałuję tego. Nie wszystkim jest dane walczyć za swój kraj i umrzeć na polu chwały, lub żyć z pożytkiem dla niego. Powiedz mi tylko, czy gdybym był... gdybym był, jak inni... pozwoliłabyś mi iść na wojnę?

— Nie, Pawle — odrzekła matka z prostotą — nie byłabym cię pozwoliła; byłabym cię wyprawiła sama. Podobnie jak matki starożytnych greków, które dając synom tarcze, mówiły: „Z tą tarczą, mój synu, albo na tarczy”.

Paweł usiadł przy matce. Oczy mu płonęły; lekkim rumieniec zabarwił szczuple policzki.

— A gdybym wrócił, gdybyśmy obaj wrócili bez tarcz naszych — ty wiesz, matko, co mam na myśli — cóż wtedy?

— To niemożliwe — odparła pani Arlington krótko. — Rycerskość, odwaga i męstwo jest wam wrodzone; macie to we krwi.

Nieliczni hotelowi goście uważali i panią Arlington za osobę zgoła nie patryotyczną. Nie widziano jej nigdy, żeby robiła skarpetki, lub szyla nocne koszule. Zachowywała się tak, jak gdyby wojna nie obchodziła ją wcale. Nikt nie wiedział o bezsennych nocach, jakie spędzała na modlitwie, wyblagując u Boga życie dla najstarszego syna, w którym wszystkie nadzieje pokładała; ani o czkach, jakie wysyłała do różnych komitetów zbierających ofiary na rzecz wojny, ani o bieliznie, jaką dawała do szycia żonom żołnierzy. Nikt o tem wiedzieć nie mógł, więc wszyscy mieli ją za egoistkę bez serca, pozbawioną patryotycznych uczuć.

Wrzesień minął, a pani Arlington żyła w ciągłej trwodze i oczekiwaniu jakiegoś telegramu z pola walki.

Gdy wreszcie nadszedł, zamknęła się w swoim pokoju, zanim go otworzyła, przygotowaną będąc na najgorsze.

To też wyczytawszy wiadomość, że Filip ciężko ranny, odetchnęła, a gdy w swoim czasie nadszedł króciutki list od samego już Filipa, pisany z wojskowego szpitala w pobliżu Paryża, donoszący, że mu amputowano lewe ramię, że rana goi się pomyślnie i że otrzymał krzyż Legii Honorowej, pani Arlington doznała tak wielkiej ulgi i pociechy, że była-

by cały świat przycisnęła do serca, i nawet hotelowi goście „szykowcy”, jak ich nazywał Paweł, którzy jej zawsze działali nieznośnie na przeczułone nerwy, przestali ją drażnić.

Było pośród nich towarzystwo zamożnych, holenderskich kolonistów, złożone z pięciu osób. Kobiety nosiły głęboko wycięte bluzki, wysokie obcasy i trefiły pracownicie włosy, by górski wiatr miał tem większą uciechę w natychmiastowym wicherzeniu tych modnych koafiur. Mężczyźni byli ubrani po sportowemu, mieli długie, zczesane z czoła włosy i sadzili się na szorstkość w obojęściu, która wydawała im się jedynie odpowiednią w tych wojennych czasach.

Pani Arlington unikała starannie zetknięcia z tem hałaśliwym, czupurnym towarzystwem, teraz jednak, gdy śmiertelny niepokój o Filipa przestał ją dręczyć, zbliżyła się sama do rodziny Van Steyn'ów, co było bardzo chętnie przyjęte.

Pod pozorem pożyczania książki zaczęła raz panią Van Steyn w hallu, i po paru minutach rozmowy dowiedziała się, że mąż pani Van Steyn zaciągnął się do armii Botha i za kilka dni ma udać się do Transwalu. Wówczas pani Arlington wspomniła po raz pierwszy, że jeden z jej synów jest na wojnie, że walczył pod Mons i Aisne'ą. Panią Van Steyn bardzo to zaciekało, zwłaszcza, gdy usłyszała, że prezydent własnoręcznie udekorował Filipa.

Spostrzegłszy wychodzącego z palarni męża, zawołała go.

— *Piet!* — rzekła *Piet, kom hier naar toe.*

Van Steyn zbliżył się do nich. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna i w mundurze cesarskich szwoleżerów przedstawiał się bardzo okazale. Żona przedstawiała go pani Arlington.

— Mój syn, Paweł, zazdrości panu bardzo — rzekła ta ostatnia, aby coś powiedzieć. — Dałby wszystko, by mój iść za pańskim przykładem.

Holender popatrzył na nią, podkręcając czarnego wąsa.

— A cóż mu przeszkadza? — zapytał.

Pani Arlington doznała takiego uczucia, jak gdyby ją urażono w bolączkę, odrzekła jednak grzecznie:

— Miał zawsze wątle płuca. Przed trzema laty był nawet poważnie zagrożony, ale powietrze tu tejsze dokazało cudów.

Van Steyn był zbyt powierzchownym obserwatorem, by zrozumieć, co się kryło pod zniewieściałym trochę wyglądem Pawła, i żałował go zawsze, jak chłopca, przyszytego do spódnicy matki.

— Teraz wygląda bardzo dobrze — zauważył z powątpiewaniem. — Szczupły jest, to prawda, ale taki młody chłopiec nie powinien nabierać ciała.

— Tak — rzekła pani Arlington. — Teraz jest już na dobrej drodze i da Bóg nie będzie cherlakiem, jak mu to groziło.

— Swoją drogą, pani musi być zadowolona, że syn pani nie może iść na front — wtrąciła pani Van Steyn. — Wątle zdrowie wyszło mu na korzyść, bo mu zapewniło bezpieczeństwo.

— Tu nie chodzi o jego bezpieczeństwo ale o zdatność — odparła pani Arlington z odcieniem pewnej wyniosłości w głosie. — Poczóż szedłby na wojnę, jeżeli każde większe zmęczenie lub wysiłek skończyłyby się krwotokiem?

Pani Van Steyn wywnioskowała z tych słów, że matka Pawła musi być osobą bardzo chłodną i obojętną i zwierzyła się z tego mniemania mężowi, gdy wyszli z hotelu.

— Jeżeli chcesz wiedzieć — rzekł pan Van Steyn — to chłopak nie wydaje mi się tak wątlym, jak to utrzymuje jego matka. Najgorszą rzecz wmawiać w siebie choroby i dbać zanadto o zdrowie. Weź mnie na przykład. Czy ja się kiedy troszczę o moje zdrowie?

— Patrz, idzie du Toit — rzekła żona. — Idzie się kapać.

— I ja pójdę. Pójdiesz z nami na brzeg?

— Czy to tylko bezpiecznie? — zauważyła pani Van Steyn z pewnym niepokojem. — Słyszałam, jak ktoś mówił —

— Dajże spokój — przerwał pan Van Steyn — wiesz przecież, że umiem pływać.

Żona zamilkła, bo powiedział to tonem, niedopuszczającym żadnych dalszych uwag.

* * *

Dzień był wyjątkowo gorący, jak na ową porę roku. Najłżejszy wietrzyk nie poruszał rozsolnionym powietrzem.

Paweł siedział na wybrzeżu, nieopodal od samotnej łazienki, pałac papierosa. Prócz jego szczupłej, biało-ubranej postaci nie było widać nikogo na całej plaży.

— Zapytaj go, możeby się poszedł kapać — rzekł du Toit, który miał dobre serce pod swym nowym mundurem.

— Daj pokój. Nie poprosił matki o pozwolenie. Mogłby się zaziębić — odpowiedział Van Steyn.

— Wstydz się, Piet! Jeszcze usłyszysz! — napomniwała męża pani Van Steyn.

Paweł ujrzawszy zbliżające się towarzystwo, zdjął kapelusz.

Dokończenie nastąpi.



Tragedya poety.

Przetrząsnawszy dokładnie zawartości kieszeni, Wiertowski konstatuje, że ma akurat tyle gotówki, ile przy obecnej drożyznie potrzeba, by dzień jeden dostаточно przeżyć. A tu wierszy drukować nikt nie chce i nowych pieniędzy spodziewać się nie można wcześniej, jak za tydzień!...

Z zazdrośną lubością myśli o tych kieszonkowych czasach krakowskich, kiedy to, natruwszy się po różnych dekadencjach i niedekadencjach garkuchniach, budził się co rano z niesmakami w ustach i z rozpaczą myślał o czekającym go w ciągu dnia obiedzie. Bywało, że tygodniowymi całymi nie mógł patrzeć na jedzenie! Męka były dla niego te dni, lecz ileby dał w tej chwili za tę mękę!...

— Tydzień niesmaku w ustach! Siedem dni niechęci do jedzenia! Co by to była za oszczędność!...

A tu, o ironio dziejowa, w warszawskim niedostatku wyreperował się jego „król narządów”; autor sonetów między nie czuł się tak dobrze i nie miał takiego apetytu!

— Królestwo za niestrawność! — jęknął błagalnie...

W tej chwili uczył piekielny skurek głodu — przypomniał sobie, że wczorajszego wieczora nie dojadł: przez planową oszczędność... Ale to do niego nie prowadzi — nazajutrz wstaje się z wilczym apetytem!...

Na ulicy los mu nawinał pod rękę młodego doktora — specjalistę od chorób wewnętrznych.

— Doktorze — rąbnął prosto z mostu — jakie są najniestrawniejsze potrawy?

Doktorek rozpoczyna formalny wykład. Przedewszystkiem, pojęcie potrawy jest rzeczą względną... Dalej, są organizmy i organizmy... Nakoniec, żadna potrawa, jako taka, sama przez się nie jest jeszcze niestrawną... Jednym słowem, t. zw. niestrawność nie istnieje; istnieje tylko różny o niej wyobrażenie...

— Jak w chwili obecnej, nie istnieje w Warszawie nawet to wyobrażenie! — kończy z goryczą...

Poeta zwraca się z kolei do drugiego rzeczoznawcy — kelnera w kawiarni. Zaczyna ankietę, — od strony odwrotnej.

— Co macie lekkiego?

— Na pieniądze wszystko ciężkie.

— Ale do jedzenia?

— Wszystko leciutkie.

— Naprzykład?

— Może być porcyjka schabu z kapustą...

— Ależ to leży w żołądku... — zapierza się Wiertowski.

Nie zdążył wymienić odnośnych ilości dni — stanęły mu żywo w pamięci czasy krakowskie... I ten kolega, który każda potrawę przed jej zjedzeniem określał ścisłym wymiarem czasu, jakiego potrzebował będą w organizmie jej części składowe, aby — — —

Wiertowski ma już, czego mu potrzeba! Pamięta, jak dziś!...

Czekolada — półtora do dwóch dni; bardzo słodka i gęsta — dwa do dwóch i pół; ciasto deserowe trzy dni, tortowe trzy i pół; tłuszcz przy szynce cztery; zakropiony wódka, pięć, — „pieprzówka”, jak dobrze pójdzie, to i do sześciu... I tak dalej, i tak dalej...

...Pod wieczór Wiertowski ma już przy duszy zaledwie jakieś półtorej marki z kopiejkami, za to czuje upragnioną

obrzydliwą ciężkość i fatalny niesmak. Czując dokładnie, jak tam w żołądku rozsiadły się z całą wygodą ciastka tortowe obok dwóch porcji schabu z kapustą, tłuszcze od szynki, zakropione trzykrotnie alkoholem obok czterech filiżanek gęstej i słodkiej czekolady, sery, bulki i masła — i całe to towarzystwo jedeniowe gniecie go, tak rozkosznie, obiecująco gniecie, i będzie gniotło trzy, cztery, pięć dni, a jak dobrze pójdzie (gdy zakropi jeszcze jedną „dziecinną” pieprzówką), to i do sześciu!...

Z wielkiego ukontentowania, zaciąga napotkanego kolegę „od prozy” — na jedną z kroplami. Do poduszki.

— Panie Maryan, dwa bigosy z paprykami! — bucha na nich z kąta lokalu, gdy wchodzi.

Wiertowskiego oświeca myśl błyskawiczna. Bigos z papryką!...

Kolega od prozy ciągnie go przerażony za połę.

— Człowieku, bój się Boga, na noc — — —

— Zamyka żołądek?...

— Conajmniej — na tydzień!!

Wiertowski rzuca się przyjacielowi na szyję.

— Na tydzień mówisz? Jesteś tego pewny?...

Kolega wzrusza ramionami.

— Rób, jak chcesz, jutro przyjdę cię odwiedzić.

— Przyjdź, przyjdź, zobaczysz, jaki będę szczęśliwy!... Panie Maryan, proszę i dla mnie — — —

Nazajutrz kolega zgłasza się wczesnym rankiem. Zastaje Wiertowskiego już czuwającego. Minę ma strapioną, zdruzgotaną — prawie na płacz mu się zbiera...

— Wyobraź sobie, przeczyściło mnie — — — jęczy rozpacznie...

B. Górczyński.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

B A K.

POWIEŚĆ.

12

Signora Grassini westchnęła. Rozmawiała zawsze w ten sposób z obcymi, rola patryotycznej żalobnicy oplakującej niedolę Włoch tworzyła efektowne zestawienie z jej minkami pensjonarki i pretensjonalnymi toaletami.

— Umarł w Anglii? — powtórzył męski głos. — Emigrował zatem! Coś sobie przypominam to nazwisko; jakby w związku z pierwocinami Młodych Włoch?

— Tak, był jednym z tych nieszczęśliwych młodzieńców, których aresztowano w 33-m roku; pamiętasz pan tę smutną historię? Uwolniono go wtedy, ale gdy po kilku latach znów wdrożono przeciwko niemu śledztwo, uciekł do Anglii. Potem dowiedzieliśmy się, że się tam ożenił. Była to bardzo romantyczna historia, ale biedny Bolla był zawsze romantyczny.

— I powiadasz pani, że umarł w Anglii?

— Tak, na suchoty; nie mógł znieść tego okropnego, angielskiego klimatu. Biedna Gemma owdowiała; nie dość na tem, na krótko przed śmiercią męża straciła jedyne dziecko, na szkarlatynę. Prawda, jakie to smutne? Wszyscy ją bardzo lubimy. Jest trochę sztywna, biedaczka; ale myślę, że to nieszczęścia uczyniły ją taką zamkniętą w sobie i — — —

Gemma wstała i rozsunęła wachlarze palm. To opowiadanie jej osobistych trosk dla czezej gadaniny było dla niej czemś nie do zniesienia i gdy wyszła na światło, twarz jej miała wyraz nietajonej przykrości.

— Ach! otóż i ona! — wykrzyknęła pani domu bynajmniej nie zmieszana. — Gemmo droga, szukałam cię właśnie, nie wiedząc, gdzie

znikła. Signor Felice Rivarez pragnie być ci przedstawionym.

— Więc to jest Bąk — pomyślała Gemma, spoglądając na niego z pewnym zaciekawieniem; on zaś skłonił jej się bardzo grzecznie, ale oczy jego objęły jej twarz i postać spojrzeniem, które wydało jej się impertynencko badawczym i przenikliwym.

— Znalazła tu pani r...r...rozkoszny kącik — zauważył, patrząc na liściaste ustronie — i j...j...jaki stąd piękny widok.

— Tak; bardzo tu ładnie. Wyszłam, by zacerpnąć trochę powietrza.

— Ach! bo też to prawdziwa zgroza dusić się w murach na taką cudowną noc — rzekła pani domu, podnosząc oczy ku gwiazdom, (Miała piękne rzęsy i lubiła je pokazywać). — Spójrz, Signore! Czy nasza cudna Italia nie byłaby niebem na ziemi, gdyby tylko była wolną! I pomyśleć, że jęczy w kajdanach, mając takie kwiaty i takie niebo.

— I takie patriotki! — uzupełnił Bąk przeciągle i miękko.

Gemma spojrzała na niego z pewnym niepokojem; było to powiedziane tak impertynencko, że niktogo chyba w błąd wprowadzić nie mogło.

Ale nie doceniła łapczywości Signory Grassini na komplementy. Biedna kobieta przyjęła słowa Rivarez'a za dobrą monetę i spuściła rzęsy z westchnieniem.

— Ach! Signore! Kobieta tak mało zdziałać może. Może kiedyś będę mogła udowodnić moje prawo do miana włoszki — kto wie? A teraz muszę wracać do moich światowych obowiązków; francuski ambasador prosił mnie, aby zapoznać je-

go pupilkę ze wszystkimi znakomi-
tościami i pana też muszę jej przed-
stawić. Sliczna panienka. Gemmo
droga, zostawiam tymczasem Si-
gnor'a Rivarez pod twoją opieką.
Zajmij się nim i zapoznaj go ze
wszystkimi. Ach, otóż i ten zachwy-
cający, rosyjski książę! Znasz go
pan? Mówią, że jest ulubieńcem cesar-
za Mikołaja i wojennym gubernato-
rem jakiegoś polskiego miasta, któ-
rego nazwy żaden język nie wymó-
wi! *Quelle nuit magnifique? N'est pas
mon prince?*

Podbiegła, wdzięcząc się do ro-
słego mężczyzny z karkiem byka,
kwadratowemi szczękami i z mnó-
stwem orderów migocących na sze-
rokiej piersi, i zaledo jej westchnie-
nie nad „*notre malheureuse patrie*”.
„*charmant*” i przeplatane wykrzyknikami
„*mon prince*” rozwiały się w
powietrzu na końcu tarasu.

Gemma stała w milczeniu pod
palmami. Żal jej się zrobiło tej głu-
piutkiej kobieciny i drażnił ją wyraz
twarzy Bąka, z jakim spoglądał za
oddalającymi się postaciami.

— Idą tedy społem włoski i ro-
syjski patriotyzm — rzekł zwraca-
jąc się do Gemmy z uśmiechem —
idą pod rękę, wielce nawzajem ze
swego towarzystwa zadowoleni. Któ-
ry z nich pani wolisz?

Gemma lekko ściągnęła brwi i nie
nie odrzekła.

— O-o-oczywiście, jest to kwe-
stya o-o-osobistego gustu — mówił
Bąk dalej — co do mnie, wybierając
z dwojga, wolę odmianę rosyjską.
Gdyby Rosya miała polegać na kwia-
tach i błękitach zamiast na prochu i
karabinach, to jak długo sądzisz
„*mon prince*” utrzymałaby się ta pol-
ska twierdza?

— Sądzę — rzekła Gemma chło-
dno — że możemy zachować nasze
osobiste poglądy, nie ośmieszając
tych, których jesteśmy gośćmi.

— Ach tak! Za-a-apomniałem o
prawach gościnności obowiązujących
tu we Włoszech. Nadzwyczaj go-
ścinnie naród ci włosi! Myślę, że au-
stryjacy muszą być tego zdania. U-
siądź się pani?

Utykając, poszedł przynieść jej
krzesło, a, gdy usiadła, stanął naprze-
ciwko niej, opierając się plecami o ba-
lustradę. Światło z przeciwległego
okna padało w pełni na jego twarz i
Gemma mogła mu się przypatrzeć
dokładnie.

I doznała rozczarowania. Spo-
dziwała się zobaczyć jakąś uderza-
jącą, niepospolitą fizyognomię, tym-
czasem główną cechą jego powierz-
chowości była aż do przesady po-
sunięta wykwinność stroju i coś dzi-
wnie impertyneckiego w ruchach i o-
bejściu. Poza to był śniady jak mu-
lat i pomimo, że chromy, zwinny jak
kot, Mimowoli, gdy się na niego pa-
rzyło, przychodził na myśl czarny
jaguar. Czoło i lewy policzek miał
strasznie zeszepeczone blizną od ciecica

pałaszem, i Gemma zauważyła już,
że gdy zaczynał się jąkać, ta część
twarzy drgała mu nerwowo. Nieza-
leżnie jednak od tych wszystkich
braków, była to powierzchowność
raczej piękna ale nie pociągająca.

Po niejakej chwili zaczął znów
mówić w ten jakiś osobliwszy cią-
gnący sposób („Tak, jakby mówił ja-
guar, gdyby mógł mówić i był w do-
brym humorze”), pomyślała Gemma
z rosnącym rozdrażnieniem.

— Słyszałem — rzekł, — że pani
interesuje się radykalną prasą i że
pani pisze sama.

— Piszę bardzo mało; brak mi
czasu.

— Ach! tak. Z tego, co mi mó-
wiła Signora Grassini; wnioskuje, że
inne, poważne czynności absorbują
czas pani.

Gemma zlekka podniosła brwi.
Ta kobieta o ptasim mózgu musiała
widocznie napaplać nierozważnie tem-
tu nieuchwytnemu osobnikowi, któ-
ry z każdą chwilą stawał się Gemmie
bardziej odpychającym.

— Czas mój jest istotnie bardzo
zajęty — rzekła sztywno — ale Si-
gnora Grassini przecenia doniosłość
moich zajęć. Są one przeważnie bar-
dzo pospolite.

— Ha, źle byłoby na świecie,
gdybyśmy wszyscy trawili czas na
śpiewaniu trenów nad Włochami.
Gospodarz tego domu i jego żona są
tego odstraszać przykładem. O!
wiem, co pani powiesz i masz najzu-
pełniej słusność; cóż, kiedy oni o-
boje są tak niewysłownie śmieszni
ze swoim patriotyzmem! Chcesz pa-
ni już odejść? A tu tak przyjemnie.

— Tak; już muszę wracać do
salonu. Ach! to mój szal! Dziękuję
panu.

Bąk podniósł go i teraz stał
przed nią, patrząc na nią oczyma tak
niewinnymi, jak niezapominajki nad
strumykiem.

— Wiem, że pani masz mi za
złe — rzekł ze skruwą, — że drwię
sobie z tej woskowej lalki. Ale co
ja na to poradzę?

— Skoro pan mnie pytasz, od-
powiem, że jest rzeczą nieszlachetną
a nawet niską drwić z czyichś umy-
słowych braków; to zupełnie tak,
jakgdyby się kto wyśmiewał z kale-
ctwa, lub —

On nagle odetchnął głęboko i
cofnął się, spoglądając na swoją
chromą nogę i okaleczoną rękę. Na-
tychmiast jednak odzyskał panowa-
nie nad sobą i wybuchnął śmiechem.

— Porównanie zgoła nie trafne.
Signora; my, kalecy, nie popisujemy
się przed ludźmi z naszymi ułomno-
ściami, jak ta pani ze swoją głupotą.
Ostrożnie; tu stopień; zechciej pani
przyjąć moje ramie.

Gemma wróciła do salonu w
zakłopotanem milczeniu; jego nie-
spodziewana drażliwość zmieszała ją
zupełnie.

Jak tylko Bąk otworzył przed

nią drzwi salonu, zauważyła, że coś
stało się podczas jej nieobecności.
Panowie mieli gniewne, pomieszane
miny; panie z wyiekami na policz-
kach skupiły się w kącie salonu, u-
dając z trudnością, że są zupełnie
à leur aise; gospodarz poprawiał
binokle z tłumionym, ale mimo to
widocznym gniewem, a gromadka
turystów stała z boku, rzucając roz-
bawione spojrzenia w jeden punkt sa-
lonu. Widocznie coś tam było, co
im się wydawało komicznem, a co
większość gości uważała za zniewagę.
Jedna tylko Signora Grassini nie
straciła kontenansu; i widocznie,
nie orientując się w sytuacji i ko-
kieteryjnie manewrując wachlarzem,
paplała coś sekretarzowi holender-
skiej ambasady, który słuchał ją z
drwiącym uśmiechem na twarzy.

Gemma zatrzymała się przy
drzwiach i rzuciła przez ramię spoj-
rzenie na Bąka, by się przekonać,
czy i on zauważył skwaszony na-
strój towarzystwa. Jakoż spostrze-
gła, że ze złośliwym tryumfem prze-
niósł wzrok z twarzy niedomyślają-
cej się niczego pani domu na stojącą
w rogu salonu kanapkę. I Gemma
zrozumiała od razu; wprowadził tu
swoją kochankę pod jakimś zmyślo-
nym pozorem, na którym poznali się
wszyscy, wyjąwszy Signory Gras-
sini.

Baletnica siedziała niedbale na
kanapie, otoczona gromadą złotej
młodzieży i uśmiechniętych ironicz-
nie oficerów kawaleryi. Ubrana była
jaskrawo w szkarlatno-bursztynową
suknię i obwieszona błyskotkami,
co w tym florentyńskim, literackim
salonie nadawało jej wygląd zablą-
kanego pomiędzy wróble i szpaki
tropikalnego ptaka. Sama też musia-
ła się czuć tu nie na miejscu i z po-
gardliwym ściągnięciem brwi spoglą-
dała na obrażone damy.

Ujrzawszy Bąka, przechodzące-
go przez salon z Gemmą, zerwała się
i poskoczyła ku niemu.

— Panie Rivarez — zawołała złą
francuszczyzną — szukam pana wszę-
dzie. Hrabia Sołtyków chce pana
prosić na jutro wieczór do swojej
willi. Będą tańce.

— Bardzo mi przykro, że nie
mogę przyjąć zaproszenia; ale i tak
bym tańczyć nie mógł. Sigora Bolla;
pozwól pani przedstawić sobie panią
Zitę Reni.

Cyganka spojrzała na Gemmę
nawpół wyzywająco i ukloniła jej się
sztywno. Była niewątpliwie piękną
i pełną swobodnej gracyi w ruchach;
ale czoło miała niskie i wązkie; a za-
rys jej delikatnych ust i nozdrzy był
nieprzyjemny, prawie okrutny.

Obecność jej spotęgowała przy-
kre uczucie, jakim towarzystwo Bą-
ka przejmowało Gemmę, i gdy w
chwilę potem gospodarz domu przy-
szedł uprowadzić ją pod pierwszym
lepszym pozorem, była mu z całego
serca wdzięczna.

— I cóż, Madonno, cóż myślisz o Baku? — zapytał Martini, gdy późno w noc wracali powozem do Florencji. — Widziałas kiedy podobną bezczelność, z jaką ten zuchwalec zamydlił oczy Signorze Grassini?

— Masz na myśli baletnicę?

— Tak; wzmówił w tę biedną kobietę, że ta dziewczyna będzie gwiazdą sezonu. A nikt nie jest tak łasy na znakomitości, jak Signora Grassini.

— Bardzo to było brzydko z jego strony stawiać Grassini'ch w tak fałszywym położeniu i bez względu dla tej samej dziewczyny. Widziałam, że była, jak złapana.

— Rozmawiałaś z nim dłużej? I cóż myślisz o nim?

— Och! Cezarze, myślę tylko to, że radabym go nigdy więcej nie widzieć. Nie spotkałam nigdy tak straszliwie nującego człowieka. Przyprawił mnie o ból głowy po kilku minutach. To wcielony szatan niepokoju.

— Byłem pewny, że nie będzie ci się podobał; a jeżeli mam być szczerym, to i mnie również. Jest ślizki, jak węgorz; nie dowierzam mu.

ROZDZIAŁ III.

Bak mieszkał za Romańską bramą w pobliżu apartamentu Zity. Musiał być po trosze sybaryta, a choć nie w urzędzeniu mieszkania nie technęło zbyt ekstremitetami, zbytkowne upodobania wydatniały się w każdej drobnostce, co nie pomahało zdziwiło Galli'ego i Riccarda. Nie spodziewali się takich wykwinnych nawyknień po człowieku, który lata całe spędził w dzikich puszczech Amazonki, i zdumiewali się nad jego nadzwyczajnymi krawatami, obuwaniem, będącym ostatnim wyrazem mody i elegancji, oraz nad mnóstwem kwiatów, zdobiących zawsze jego biurko. Pozatem przypadł im bardzo do serca. Był ogromnie gościnnie i przyjacielski dla wszystkich, zwłaszcza dla miejscowych członków stronnictwa Mazzini'ego. Jedyne wyjątek w tym względzie stanowiła Gemma; widocznym było, że od pierwszego zetknięcia powziął ku niej niechęć i unikał zawsze jej towarzystwa. Parę razy nawet był dla niej poprostu niegrzecznym, czem ścigał na siebie nienawiść Martini'ego. Zresztą od początku nie było pomiędzy nimi dwoma sympatyj; ich uspołobienia były tak krańcowo różne, że odpychały się wzajemnie. Martini zwłaszcza zżywał się na sam jego widok.

— Nie dbam o to, że mnie nie lubi — rzekł raz do Gemmy z rozdrażnieniem. — Ja go również nie lubię; więc nie mamy sobie nic do wyrzucenia. Ale nie mogę ścierpieć jego sposobu zachowania się względem ciebie.

Gdyby nie skandal, jakiby stąd wyniknął w stronnictwie, że oto ścigało się go tutaj, a potem drze się z nim koty. zażądałbym od niego wyjaśnień.

— Zostaw go w spokoju. Cezarze. Mniejsza o to; i zresztą tyle w tem mojej winy, jak jego.

— Jakiej winy?

— Że mnie tak nie lubi. Postąpiłam brutalnie względem niego, wtedy, gdyśmy się u Grassini'ch spotkali.

— Ty i brutalność? To trudne do wiary, Madonno.

— Oczywiście, zrobiłam to niechęcią i było mi potem bardzo przykro. Powiedziałam coś o wyśmianiu się z kalectw, a on to wziął do siebie. Nie przyszło mi na myśl uważać go za kalekę; to wszak nie bije w oczy.

— Oczywiście. Ma jedno ramię wyższe, niż drugie, i lewa ręka bardzo uszkodzona, ale nie jest ani garbaty, ani kulawy. Trochę tylko utyka na nogę; ale to prawie niewidocznie.

— Niemniej zatrząsł się cały i zmienił na twarzy. Byłam bardzo nietaktowną, ale też żeby być tak drażliwym! Musiano mu chyba nadokuczać kiedyś dotkliwie z tego powodu.

— Jemu? To on raczej tak wygląda, jakby nic innego nie robił, tylko dokuczał ludziom. Pod całą układością jego obcięcia czuje się w nim taką jakąś wrodzoną brutalność, która mnie doprowadza do pasy.

Dalszy ciąg nastąpi.



Rewia.

Rewia mar i przywidzeń, poczęta w lirycznym śnie bohaterskich złud. Piękne są złudy i czarowne. W księżycowych pieśniach brzmia stłumionymi dźwiękami i mamią echami dalekich a znanych tonów. Jak lunatyk, wyciąga do nich ramiona poeta. Czyż sądzić go za to? Niech wyczarowany swój świat pieści dalej i hołubi. Placze w nim dusza i szlocha serce. Gdy spotka się z rzeczywistością — niecierpliwie obrzuci go satyrą i pamiletem, bo kraj to inny, nieksiężycowy. Na wydmach tych zdała od kolei mieszka hreczkosiej-pocziwiec, udający polityka i to zabolił poetę. Jak śmie chwycić w dłoń kaduceusz?! Prawda serca polskiego jest gdzieindziej. A że wdeptuje te „maleńkie” dusze wojna w błoto rozjeżdżonych dróg, że nad głową palił mu się dach i obcy koń tratował jego dobytek — czyż płakać ma poeta, co marzy rycerskie boje dziadów z pod

Kirchholmu? I zadrwi sobie z pana Kownackiego, co poleci wraz z rodziną do Warszawy, gdy otworzy się komunikacja, by odebrać procent od kapitału, umieszczonego na kamieniczce przy ulicy Marszałkowskiej.

Czyż to jednak satyry i pamilety, jak chce pan Aleksander Karwan, autor tomu felietonów, które wydał pod ogólnym tytułem „Rewia”? Pocziwie są przytem zamierzenia p. Karwana — ginie więc ostrość, zaciera się kańcistość, a nawet w mgłę stacza się wszelki morał. Satyryczne postacie p. Karwana w żyłach swoich miast krwi mają obfoki ślicznych dymków od papierosów, misternie wypuszczanych przez usta zamilowanego i w sztuce tej wyćwiczonego palacza. Miłe jest jednak w tej książce „satyr i pamiletów” wszystko to, co zaprzecza tym tonom domniemanej drwiny i sarkazmu. Rozelkany liryzm, marzycielska tęsknota, spowiadająca się z miłości do rodzinnego domu, wreszcie i te niewyśpiewane pieśni o bohaterskim rapsodzie — oto prawdziwe tony psychiki twórczości p. Al. Karwana.

Rewia bowiem przewidzenia artystycznych p. Karwana nie pobudza do żadnych protestów. Obecność tych sarkazmów nie wytrąca nikogo z letargu; przeciwnie, może rozśpiewać błękitnymi zadumami i otuli w płaszcz sinych mgieł tęsknoty, wyczarowanej przez delikatne serce liryka i marzyciela. E. C.

Sąd kasacyjny Księstwa Warszawskiego.

J. J. Litauer dał bardzo interesującą przyczynkę do poznania formacji „Sądu kasacyjnego Księstwa Warszawskiego”. Praca ta, oparta na źródłach z pierwszej ręki, rzuca wiele światła na stan naszego sądownictwa na początku wieku XIX-go.

Autor rozprawy po skrzętnej analizie przychodzi do konkluzji, że „mierząc niedługą lecz płodną działalność sądu kasacyjnego miarą właściwą, mimo usterek a nawet wady organiczne w jego ustroju, uznać w niej musimy jasną i pełną chwałę kartę w dziejach naszego sądownictwa porzobiorowego i wzór pod wielką względami godny naśladowania w przyszłości” (Str. 30). Praca ta zjawia się, jako odbitka z pisma poświęconego nauce prawa p. t. „Themis polska”.

Car Paweł I.

Nieurzędową historję „Domu Romanowych” opracowuje p. Edmund Prawdź. Tomik I zawiera dzieje Cara Pawła, zamordowanego przez spisek oficerski. Malowidło historyczne, poświęcone tej postaci, widzieliśmy niedawno na scenie teatru Polskiego. POCO wydano też nieurzędową historję „Domu Romanowych”? Dla skandalu? Bo przecież nie dla wyjaśnień historycznych rzuca się w tłum takie broszurki. Wartoby miast takich wątpliwej wartości naukowej książeczek zacząć popularyzować dzieje o czyste. Szerokie warstwy znalazłyby w nich zaspojenie poznania naszej przeszłości, autor zaś przeświadczenie, że służy pięknej sprawie popularyzacji historii narodowej. Kogo bowiem zająć może, ile nałóżnic miał Paweł I? I czy należy wogóle popularyzować takie informacje „historyczne”?